

POLSKA ZBROJNA

00-958 WARSZAWA
ul. Grzybowska 77

Nr z dn.

4 5 5 - 7 -03- 93

TEATR Antyгона lat dziewięćdziesiątych

Ta sztuka i ten spektakl były głośne, zanim doszło do jej światowej prapremiery w naszym rodzimym Ateneum. (Wyprzedzającej, jak się okazuje, o dwa tygodnie amerykańską premierę.) „Antygoną w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego, pisarza przebywającego od kilkunastu lat w USA. Obejrzałam „Antygonę w Nowym Jorku” i oto mam przyjemność donieść P.T. Czytelnikom, że — z małymi zastrzeżeniami, o których dalej — rzeczywiście mamy wreszcie w stolicy wydarzenie.

Składa się nań wiele czynników, jak to zwykle w teatrze. Jednakże w tym wypadku trzeba stwierdzić, że podstawą sukcesu stał się tekst; po prostu Janusz, w gronie kolegów zwany „Głową” za naszych wspólnych uniwersyteckich lat, napisał świetną sztukę. Wreszcie. Imię Antygony odwoła do Sofoklesa, oczywiście. Zaśługą Głowackiego jest, że stary helleński mit o **godności** — która należy się człowiekowi również po śmierci, choćby był i najędzniejszy — przeniósł w realia końca naszego wspaniałego wieku. I że historię Antygony nam współczesnej, która pragnie „pogrześć brata”, umieścił w środowisku społecznego dna. Niezależnie od tego, czy znajduje się ono w południowej części Manhattanu, w okolicach Dworca Centralnego stolicy Polski, czy w wilgotnych zaułkach Odessy...

Pobrzmiwają w tej sztuce bowiem reminiscencje wszystkich owych „den”, włącznie z aluzją do słynnego dramatu **Gorkiego**. Obserwatorzy powojennych dziejów dramatu wyluskują

w nich trop Mrożkowych „**Emigrantów**” — opowieści o dwóch Polakach, intelektualistach i prostaku, którzy na tyłach zachodniobrzeźnińskiego dworca wiodli egzystencyjny dialog o najprostszych racjach życia. Inni w inscenizacji Ateneum w ascetycznej scenografii (na środku pustej sceny z nadwieszonym u góry cokolwiek wystrzępionym sztandarem USA, króluje prosta parkowa ławka) odnajdują echo gołęgo drzewa, pod którym to rekwizytem niejaki Estragon, w towarzystwie wiernego Vladimira, czekał na przyście tyleż upragnionego, co mało realnego Godota...

Wielość tych nawiązań bynajmniej nie przeszkadza w sztuce Głowackiego. I owszem, kulturowa „nadświadomość” autora, nie przytępiając jego „słuchu absolutnego” na toczące się obok życie, daje tej Antygonie lat dziewięćdziesiątych szeroką uniwersalną perspektywę. Każdy z nas może w jakimś momencie zostać bez dachu nad głową. Stać się, jak ci bezdomni z Tompkins

Square Park — o czym nam przypomina w beznamytnym monologu zwróconym wprost do widzów — policyjny tajniak Murphy (w bezbłędnym wykonaniu **Henryka Talara**).

Ogłocona z wszelkich dóbr jest ta nowojorska trójka przybyszów ze wszystkich końców świata. Portorykanka Anita-Antygoną, polski „bułak” Pchełka, wyniszczony pracą „na azbestach”, cierpiący na ataki epilepsji („najpiękniejsze w całym Nowym Jorku”), wreszcie rosyjski Żyd Sasza — w komunistycznej ojczyźnie artysta malarz, wyklęty za abstrakcjonizm swych obrazów (na

jeden z nich zechciał splunąć sam Breżniew). Otóż ta trójka dopiero w swym skrajnym upadku poznaje, co to jest człowieczy los... Ta sztuka i to przedstawienie mówią o niczym innym jak o losie właśnie i o ludzkiej godności. I mówią o tych sprawach w sposób przejmujący, bez całego tego „szpanu”, który tak mi przeszkadzał w dotychczasowym dorobku Janusza. W jego „absurdalizujących” sztukach, a także czasem w jego takiej prozie. I tutaj również mamy — bywa — do czynienia z absurdem. Tym razem jednak jest to absurd sięgający samych korzeni tragizmu ludzkiej egzystencji. Jak w wypadku tych sześciu ludzkich zwłok, które policja nowojorska odnalazła, w miejsce jednych, które zaginęły w tajemniczych okolicznościach...

Izabella Cywińska wyreżyserowała uniwersalne w swych przesłaniach przedstawienie. Porównując zwłaszcza w pierwszej

części. W drugiej było już nieco gorzej z tempem, momentami tylko zresztą.

Mimo tego drobnego zastrzeżenia spektakl jest objawieniem na tle repertuarowych, często nietrafionych, poszukiwań scen stołecznych w ostatnich sezonach.

Jest nim w tym sensie, że mówi wreszcie o **prawdziwych wartościach**.

Aktorzy są wspaniali — od wzruszającej Antygony, półanafabетки, **Marii Ciunelis**, mającej jednak niezwykle silny instynkt moralny i instynkt życia, poprzez znakomitego Saszę, **Janusza Michałowskiego**, stoika w nędznym ludzkim strzępie, który nie potrafi opanować drżenia rąk w alkoholowym głodzie po tym, jak żona go rzuciła dla innego, aż po wręcz koncertowo grającego Pchełkę **Piotra Fronczewskiego**, polskiego cwaniaczka, zdegradowanego przez wyniszczającą pracę na amerykańskich saksach, prostaka i mitomana. A jednak mimo wszystkich swoich wad, jakoś „ciepłego” wewnątrz. Zjednującego w interpretacji aktora — chyba właśnie swoją niepokonaną wolą życia. Wolą i wciąż kołącą się w nim nadzieją (że „Jola przyjedzie”), nadzieją nie liczącą się z realiami, co jest tym rysem jakże bardzo polskim, znanym nam...

Zachęcam gorąco do obejrzenia nieobojętnego pod każdym względem, znakomitego spektaklu w „Ateneum”.

Barbara KAZIMIERCZYK

Janusz Głowacki, „Antygoną w Nowym Jorku”, reż. Izabella Cywińska, scenografia Jerzy Juk-Kowarski, oprac. muz. Wojciech Borkowski, Teatr Ateneum, Warszawa 1992/1993.



Janusz Głowacki na próbie „Antygony...” w Teatrze Ateneum.